

Andrzej Skrendo: Przyboś i czystość sprzeciwu

Pytać o Przybosia 50 lat po jego śmierci oznacza więc ostatecznie pytać o to, ile tak naprawdę to jest – te 50 lat? Więcej niż nominalnie czy mniej? Zauważmy w tym miejscu, że pytania Przybosia o emocjonalny szantaż i przypadkowość w sztuce nie brzmią źle dla współczesnego ucha – pisze Andrzej Skrendo w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Przyboś: (nie)nowoczesność”.

Dla Juliana Przybosia 50 lat to było bardzo dużo. W swojej eseistyce i publicystyce często posługiwał się argumentem: „to jest staroświeckie”. Oczywiście po to, aby dyskredytować. 50 lat było miarą wręcz idealną: miara ta wskazywała na czasy *fin de siècle*'u, czyli okres naznaczony nieodpartym odczuciem wyczerpania sił i zmierzchem wiary w postęp. Były to czasy tryumfu tego, co najgorsze. Cofnąć się o pół wieku oznaczało dla Przybosia cofnąć się o epokę, a może nawet dwie (zakładając, a był on bliski tej myśli, że czasy międzywojnia, czasy jego młodości, to epoka osobna, zakończona wojną i przewyciężona przez komunizm). Tęskne spoglądanie w stronę przełomu wieków (XIX i XX) uważał za duży błąd.

Ale to mało. Wszelkie tęskne spoglądanie wstecz nie budziło jego sympatii. Rzecz jasna, Przyboś interesował się autorami z przeszłości, a jego pochwały nie były wcale oczywiste – zachwycał się, na przykład Leśmianem, którego łatwo na gruncie własnych przesłanek mógłby potępić. Ale przecież nie uważał się za kontynuatora żadnego autora,

którego cenił. Nawet Mickiewicza (poświęcił mu książkę). Nawiązanie ponad fundamentalnym zerwaniem – tak odnosił się do artystów wcześniejszych od siebie. Ponowienie czyjegoś wysiłku, ale z innego miejsca, w którym samemu się stoi – to była jego ambicja. Zrobienie z pełną świadomością czegoś, co nie zawsze świadomie robili artyści z przeszłości, czyli uchwycenie czasu *in statu nascendi* – tego pragnął. Kiedyś, w literaturze przednowoczesnej, każda nowość nazywana była powrotem do czegoś, co minione. Dla Przybosia wszystko, co minione, było nowością, która została przewyciężona przez kolejną nowość. Tylko kreowanie kolejnych artystycznych wynalazków – sam gest, nie jego treść – było dla Przybosia, jak dla każdego rewolucjonisty, istotą przedsięwzięcia twórczego.

Słowem – Przyboś miał swoje wewnętrzne poczucie czasu. Zakorzenione ono było w jego nominalistycznej pasji oraz w historycyzmie. Nominalizmowi Przyboś ulega na przykład wtedy, gdy dążność do niewyraźnego uznaje za dążność antypoetycką, świadectwo „chęci wyjścia poza twórczość artystyczną w świat mistyki”. Gdy tłumaczy, że nie ma sensu zajmować się tym, jaka „ma być poezja w ogóle”, lecz tylko „jakie mają być nowe wiersze” – bo nie ma czegoś takiego jak poezja w ogóle. I gdy w kontekście słowa awangarda stwierdza: „pora wyrzec się uroczyście tej nazwy. Nie ma awangardy, są tylko nowe poezje”. W takim duchu wyklada (w roku 1955) sens poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej (o czym przed 20 laty pisała Aneta Ługin). Otóż, powiada Przyboś, to, co najlepsze u Pawlikowskiej, to fakt, że nie siliła się na bycie filozofem i że filozofowanie było dla niej „jeszcze jednym obrotem jej dowcipnej myśli” (tu też w sensie źródłowym – myśli pełnej inwencji). Jako „radosna materialistka «wieczność» traktowała wesoło i eksperymentalnie”. Nie warto w jej wierszach „doszukiwać się jakiegoś sensu metafizycznego”, bo poetka rezygnowała ze słów szczególnie „w użyciu wytartych i nic

nieznaczących”, takich jak „«bóg»” (pisownia Przybosia). Słowo bóg znaczy w jej poezji mniej więcej tyle, co Maj i Wrzesień. Szczęśliwie, zamiast religią zajmowała się autorka *Krystalizacji* przyrodą: „Przypuszczam – pisze Przyboś nie bez poczucia humoru (a przynajmniej tak założmy) – że niektóre z jej spostrzeżeń o ptakach, owadach i rybach mają chyba wartość naukową”.

*Przyboś miał swoje
wewnętrzne poczucie czasu.
Zakorzenione ono było w jego
nominalistycznej pasji oraz w
historycyzmie*

Nominalizm
Przybosia może się
jednak łatwo wydać
czymś złudnym, jeśli
spojrzymy na jego
marksizm. Przyboś
uważał, że
komunista jest

człowiekiem *par excellence* nowoczesnym, gdyż dopiero po zniesieniu własności prywatnej możliwe będzie spełnienie gatunkowej istoty człowieka. Cały ten proces nazywał „artystyczną integracją życia codziennego”. Marksistowskim ideałem człowieka, tłumaczył, nie jest bowiem „«homo oeconomicus», człowiek produkujący i zaspokajający swoje potrzeby. Ideałem człowieka jest «homo aestheticus», człowiek twórca. Marksizm zapowiada zniesienie różnicy między wytwórczością a twórczością, praca ma stać się sztuką. Robotnik przemieni się w artystę i wynalazcę”. Esencja człowieczeństwa będzie dopiero osiągnięta, obecnie pozostaje jedynie w załączku – jednak jest dana od początku.

Dwa te wątki pozostają kluczowe dla dzisiejszego zainteresowania Przybosiem. Bo było tak. Po wojnie, zwłaszcza w socrealizmie, Przyboś pozostawał trochę na boku – wprawdzie komunista, ale niestety

pragnący podciągać masy do swojego poziomu, a nie zniżać się do ich poziomu. To nie mogło się podobać. Po roku 1956, choć oficjalnie uważany za twórcę wybitnego, nadal nie potrafił się odnaleźć i w oczach młodych poetów powoli, ale zdecydowanie, już za życia stawał się postacią anachroniczną. W swoim własnym poczuciu Przyboś biegał równo z czasem – i bardzo chyżo. Uważał siebie za autora niezwykle wyczulonego na zmianę. To inni, ci młodszy, nie nadążali, a nawet – co gorsza – odwracali się wstecz. Niestety, w oczach młodszych i tych dużo młodszych to, co robił Przyboś, wyglądało inaczej – i coraz bardziej komicznie. Aż w końcu, po roku 1989, Przyboś przestał być interesujący nawet jako negatywny punkt odniesienia. „Czy całkowicie zapomnieliśmy o nim?” – pytał Edward Balcerzan na we wstępie do wydanego w roku 2002 tomu zbiorowego *Stulecie Przybosia*. Było to pytanie retoryczne – ale zarazem pełne nadziei, że może jednak nie.

Dziś Przyboś powraca na fali reanimowania awangardy, czego świadectwem obszerna antologia poezji XX wieku *Awangarda jest rewolucyjna albo nie ma jej wcale* (Poznań 2019) opatrzona wstępem przez Andrzeja Sosnowskiego i posłowiem przez Joannę Orską. Sosnowski, do niedawna uważany za czołowego postmodernistę, tu staje się punktem, w którym zbiega się historia awangardy i neoawangardy (raczej jednak tej wyrosłej z ducha amerykańskiego niż francuskiego, co nie byłoby w smak Przybosiovi). Podtrzymując i wspierając hasło zawarte w tytule antologii, Sosnowski zastrzega się jednak, że „awangarda nigdy nie może sprostać swojemu pojęciu”. Czyli jakby i raczej – nie ma jej wcale. Ale im bardziej nie ma, tym bardziej chce być. Ukrywa się za swoim przeciwieństwem – tradycją, ale i na odwrót – tradycja ukrywa się za nią. Słowem, najtrudniejsza rzecz znów polega na tym samym – jak być częścią tradycji, tradycji awangardy, gdy polega ona na zrywaniu tradycji? Czym jest ciągłość odmów – i jak wiele pod powierzchnią odmowy znajdziemy ukrytych zgód? Jak

trzymać się awangardowej ortodoksji – tak trudnej do utrzymania jak w każdej innej religii? I nie przyjmować pocieszeń takich jak komunizm? Bruno Jasiński już w 1923 roku pisał: „Na zewnątrz wyglądało to po prostu jak walka, którą grupa artystów wypowiedziała społeczeństwu”. I zapłacił najwyższą cenę za to, że uległ pokusie połączenia artystycznego buntu z czymś (ponoć) większym od samej sztuki. Przyboś zapłacił mniejszą – ale do dziś wielu przeszkadza jego uwikłanie w politykę kulturalną PRL-u.

Po wojnie, zwłaszcza w socrealizmie, Przyboś pozostawał trochę na boku – wprowadzie komunista, ale niestety pragnący podciągać masy do swojego poziomu, a nie zniżać się do ich poziomu. To nie mogło się podobać

Nie chodzi tu jednak tylko o przygodności historyczne, ale rzeczywiście o samo pojęcie awangardy. W związku z tym, że jest ona *de facto* rodzajem ortodoksji skupionej na strzeżeniu własnej czystości, pozostaje nieustannie

zagrożona recydywą powrotu do tego, co minione. Z tego powodu Przyboś odrzucił swych najwybitniejszych następców: Różewicza i Białoszewskiego. Nie miał wątpliwości, że wywodzą się oni z awangardy, ale to tylko pogarszało ich sytuację – zobowiązani byli do wierności, którą odrzucili. „Groteskowy grymas złączony z sentymentalnym piosenkarstwem i katastroficznym szantażem uczuciowym pretendują do miana poezji naszych czasów, ekspresjonistyczna bylejakość i przypadkowość w sztuce – podaje się za malarstwo «nowe». Nie wierzę, żeby to się zgadzało z rytmem tego, co twórcze w naszych

czasach”, pisał Przyboś w szkicu „*Nowoczesność*” – *co to jest?*. I ostatecznie do wyznawania tej wiary i do nakazu trzymania się rytmu wszystko się sprowadza.

Marinetti, jak wiadomo, rozwiązywał problem kontynuacji w jedyny konsekwentny sposób. 50 lat to była dla niego odległość niewyobrażalnie wielka. Pisał: „Najstarsi wśród nas mają trzydzieści lat: zostaje nam więc przynajmniej lat dziesięć, by dokonać naszego dzieła. Gdy będziemy mieć czterdziestkę, inni młodszy i dzielniejsi od nas niech nas wyrzucą do kosza jak niepotrzebne rękopisy. Pragniemy tego! [...] Sztuka, w istocie, może być tylko gwałtem, okrucieństwem i niesprawiedliwością”. W ujęciu Orskiej powrót do literackiej awangardy polegać ma na czymś o wiele skromniejszym: „przyzwoleniu na hermetyzm i radykalną innowacyjność w poezji – przy rosnącej świadomości «modernistyczności», więc anachroniczności i utopijności idei awangardy”. Przyboś takie postawienie sprawy uznałby prawdopodobnie za kolejną próbę zawrócenia koła historii. Hermetyzm i eksperyment bez mesjanistycznej wiary w przyszłość, która przywróci właściwe proporcje, to tylko kolejny dreszcz *fin de siècle*'u. Tu widzimy raz jeszcze konflikt między nominalizmem Przybosia a jego historycyzmem, który ostatecznie nie jest niczym innym niż rodzajem metafizyki.

Pytać o Przybosia 50 lat po jego śmierci oznacza więc ostatecznie pytać o to, ile tak naprawdę to jest – te 50 lat? Więcej niż nominalnie czy mniej? Zauważmy w tym miejscu, że pytania Przybosia o emocjonalny szantaż i przypadkowość w sztuce nie brzmią źle dla współczesnego ucha. Jego nadzieja na „integrację” może się łatwo okazać naszą nadzieją – choć być może z tego tylko powodu, że awangardyzm zasadnie może uchodzić za rodzaj teologii skonstruowanej dla

podtrzymania nadziei, że to, co się nam przydarza, ma jakiś sens. Być może zatem – ostatecznie – jesteśmy dziś w sytuacji, którą należałoby opisać słowami: „bez Przybosia, ale (jednak) po Przybosiu”. Zapomnieliśmy o nim, ale jeszcze nie zapomnieliśmy o tym zapomnieniu. Być może drzwi dla powrotu Przybosia coraz bardziej się uchylają. Bo nie tylko awangarda zagrożona jest recydywą przeszłości, ale (każda) teraźniejszość recydywą awangardy. Czy będzie to powrót rewolucji, skoro awangarda jest rewolucyjna albo nie ma jej wcale? Być może ktoś wróci do tego pytania za 50 lat.

Andrzej Skrendo



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego